

PROLOG

Sen. To musiał być sen. No bo co innego? Nie mogłam stać na Marszałkowskiej. Na samym środku jednej z największych ulic w Warszawie. W samym sercu miasta. Nie mogłam. Sekundę temu otaczały mnie wilgotne ściany tunelu, wypełnionego ciężkim, zatęchłym powietrzem i nagle znalazłam się pośrodku Marszałkowskiej? Nie. Nie mogłam tam stać.

A jednak.

Stałam pośrodku Marszałkowskiej, zaraz przy rondzie Dmowskiego. Po mojej prawej stronie rozciągał się znany mi ciąg sklepów, po lewej przężył Pałac Kultury. Podniosłam powoli wzrok na iglicę. Tak, to był Pałac Kultury. Dokładnie taki sam, jak go zapamiętałam... Pałac sprzed lat.

Jakim cudem...? Odwróciłam się. Za mną dłużyła się szeroka, dwukierunkowa ulica, aż po sam plac Konstytucji. Widziałam wyraźnie dwie wieże kościoła Zbawiciela. Znów spojrzałam na północ.

Rzadkie drzewa pokryte liśćmi falowały na wietrze. Powietrze było przyjemne, łagodne, takie... aksamitne. Miałam ochotę usiąść na jednej z ławek wzdłuż chodnika, przy sklepach. Pooglądać ubrania na wystawach. Poobserwować życie płynące utartym rytmem. Falę ludzi. Albo przejść pod Pałac i usiąść na murku. Wciągnąć głęboko powietrze w płuca, przymknąć powieki, poprzyżyć się w słońcu.

Potrząsnęłam głową jakbym odpędzała się od stada komarów oblepiających skórę i spragnionych krwi.

– Nie – Zachrypnięty głos ugrzązł mi w gardle. Przełknęłam. Jakbym nie używała go od bardzo dawna.

Spojrzałam przed siebie. Przekręciłam głowę na bok. Coś mi tu nie pasowało, ale nie wiedziałam co. Zerknęłam w dół, na stopy.

Ujrzałam te same trepy, które przydzielono mi w Osadzie i które miałam na sobie tamtego dnia, gdy zaatakowały wojska Koalicji. Jedyna różnica polegała na tym, że te, na które teraz patrzyłam pokryte były jasnym, kredowym pyłem i zaschniętym błotem. I krwią. Zielona wiatrówka również upstrzona była szkarłatnymi plamami i smugami. Im wyżej, tym gorzej. Na rękawach kurtki znalazłam znacznie więcej plam i to ciemniejszych. Spod paznokci wyskrobałam ziemię, jakbym tunel wykopała własnoręcznie. Przeniosłam wzrok na rozgrzany beton ulicy.

I nagle mnie olśniło. Już wiedziałam co mi nie pasowało.

Miasto było puste. W zasięgu wzroku nie widziałam ani jednego człowieka. Ani żywego, ani martwego.

Pierwsze kroki skierowałam w stronę Żoliborza. Naturalna rzecz, w końcu tam się urodziłam, tam mieszkałam do piętnastego roku życia. Szłam powoli, jak podczas niedzielnego spaceru. Mijałam te same witryny sklepowe, ten sam żelazny i wysoki mur parku, te same tory tramwajowe i wieżowiec przy placu Bankowym. Gdy doszłam do wiaduktu Gdańskiego, zatrzymałam się i przechyliłam przez balustradę. Spojrzałam na flagę zatkniętą na wielkim maszcie w samym sercu ronda Radosława. Powiewała, dokładnie tak, jak powiewała dzień przed wybuchem wojny. Mijałam ją wtedy w drodze do kina. Ostatni raz siedziałam wtedy w kinie. Nawet nie pamiętałam już na czym.

Rozejrzałam się. Nie było tramwajów, samochodów, autobusów. Żadnego ruchu, poza flagą i drzewami poruszonymi przez leniwy wiatr. Świat bez ludzi.

Cisza. Cisza, jakiej nie słyszał nikt wychowany w mieście, w epoce silników i klaksonów. Jedynym dźwiękiem, jaki doszedł do moich wrażliwych uszu był dźwięk mojego własnego, świszczącego oddechu oraz ptaków wesoło ćwierkających na rozłożystym drzewie po drugiej stronie wiaduktu. Odepchnęłam się od balustrady i ruszałam za tym śpiewem.

Żoliborz tonął w zieleni. Dokładnie tak, jak każdej wiosny i każdego lata. Pełen drzew, krzewów, z parkiem Żeromskiego. Im bliżej byłam placu Wilsona i „mojego podwórka”, tym pewniejsze stawiałam kroki. Było mi coraz przyjemniej. Stawy w kolanach i kręgosłup z początku strzelały, jakby uruchomiły się po długim czasie w bezruchu. Poprawiłam włosy, spinając je gumką. Od razu lepiej. Zdjęłam zakrwawioną wiatrówkę i wrzuciłam do najbliższego kosza na śmieci. Było lato, ciepło, przyjemnie. Koszulka mi wystarczy, myślałam.

Na placu Wilsona zrobiło się chłodniej, ale słońce nadal kładło się na ściany kamienic i rozłożyste drzewa. Na przejściu dla pieszych nie zatrąbił na mnie ani jeden samochód, choć przeszłam na czerwonym świetle. W zasięgu wzroku nie było ani jednego auta, nawet zaparkowanego. Tak jakby samochody nie istniały. Minęłam kawiarnię, restaurację i aptekę. Wieża kościoła Stanisława Kostki zamigotała w promieniach popołudniowego słońca.

I nagle przestało być przyjemnie. Akurat doszłam do ulicy Popiełuszki. Słońce schowało się za kołdrą białych chmur, wiatr nabrał na sile, spychając z drzew pożółkłe już i zbrązowiałe liście. Jesień?

– Jak...? – Nic się nie kleiło. Czy to sen?

Nie pamiętałam początku tej historii, tego spaceru, więc to musiał być sen. Tylko czy we śnie czuje się zapachy tak wyraziście? Czy czuje się wiatr tak dokładnie? Czy widzi się budynki, ulice, całe przestrzenie z takimi detalami?

Nie wiem, jak dotarłam do parku Żywiciela. Ocknęłam się, gdy stałam już z nosem przed wysoką, żelazną furtką prowadzącą na podwórko przed domem. Domem, który ostatni raz widziałam trzy lata temu, który opuściłam w pośpiechu w czasie ewakuacji, podążając za nerwowym nawoływaniem mamy. Te same krzewy, te same drzwi do klatek schodowych, jasne ściany, wysokie okna, balkony. Zobaczyłam okno sypialni rodziców i to od salonu. Wiatr zdmuchnął mi niesforne kosmyki z policzka. Zadrżałam. W przeciągu niecałej minuty temperatura spadła o kilka stopni. Przyspieszona jesień.

Jedno mrugnięcie powieką wystarczyło, by z drzew opadły liście i w płoczej gonitwie potoczyły się pod moje buty. Zaszleściły tajemniczo na chodniku. Nacisnęłam klamkę furtki i pchnęłam ją. Otworzyła się bez trudu. Bez wpisywania kodu na panelu z boku. Zmarszczyłam brwi. Wyostrzyłam słuch... Ptaki ucichły. Do tej pory towarzyszyły mi swoim perlistym śpiewem. Teraz słyszałam tylko głuche uderzenia swoich traperów o beton. Weszłam na klatkę schodową.

Chłód otoczył mnie ciasno. Na odkrytych przedramionach pojawiła się gęsia skórka. Powoli i ostrożnie wspierałam się na drugie piętro. Stałam przed brązowymi drzwiami z wizjerem ze złotą otoczką. Wzięłam głęboki wdech. Nacisnęłam klamkę.

Drzwi były otwarte. Rodzinne mieszkanie wessało mnie niczym troskliwy odkurzacz. Gdy zamknęłam drzwi za sobą, poczułam... ulgę. O tym marzyłam od przez ostatnie trzy lata. Od kiedy dostałam drugie życie na lotnisku pod Berlinem. Powrót do domu. Przełknęłam.

– Mamo?

Odpowiedziała mi cisza.

– T... tato? Kuba?

Taka sama cisza panuje zawsze na cmentarzu. Odwiedzamy groby rodzinne, wsłuchujemy się w tę przyprawiającą o dreszcze ciszę, nie zdając sobie sprawy, że ona jest tam zawsze, nawet gdy nas nie ma.

Na wieszaku przy wejściu wisiał beżowy płaszcz mamy. Jakby zostawiła go tam wieczorem, chcąc znów założyć następnego dnia. Ot tak, po prostu. Bez namysłu, machinalnie. W przejściu do salonu leżała lalka Zosi. Miała zieloną sukienkę w grochy. Babcia ją uszyła na maszynie. Doskonale pamiętałam tę żelazną maszynę. Singera. Sukienka – prezent urodzinowy dla Zosi. Jej ostatnie urodziny, zanim wszystko trafił szlag.

Weszłam do pokoju i... zamarłam.

Zamrugałam nerwowo. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

Stanie na środku pustej Marszałkowskiej to nic, żaden cud, w porównaniu z Jankiem siedzącym wygodnie pod oknem na fotelu mojego taty. Nogę założył na nogę, wzrokiem obejmował parkowy pejzaż. Na twarzy miał taki spokój, taką błogość, że zamiast ucieszyć się na jego widok, zamurowało mnie.

– To nie może być prawda. Ciebie tu nie ma. Jesteś w drodze do Edenu. Nigdy nie byłeś w moim domu, nie mogłeś tu siedzieć. Nie mam takiego wspomnienia – Pokręciłam stanowczo głową.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

Ocean, las, pola, niebo. Barwy świata w jednym człowieku. Usta rozszerzyły mu się w ciepłym i łagodnym uśmiechu. Wtem pokręcił delikatnie głową.

– Co „nie”? – Zglupiałam kompletnie. A może nie rozumiałam w ogóle, od samego początku?

Janek wstał i ruszył w moją stronę. Spokojnie, ale pewnie. Zatrzymał się dopiero kilka centymetrów przede mną. Był tak blisko... Wyciągnęłam rękę i położyłam drżącą dłoń na jego piersi. Wsłuchałam się, lecz nie usłyszałam tego, czego szukałam. Podniosłam na niego przeszkłone oczy.

Już się nie uśmiechał. Wodził smutnym wzrokiem po mojej twarzy, zawiesił się na moment na ustach. Podniósł dłoń i dotknął mojego policzka. Musnął kciukiem po dolnej wardze. Zrobił to tak delikatnie jak zawsze. Dokładnie tak samo.

– Janku...

Pocałunek nadszedł niespodziewanie, jakby w pędzie, jakby Janek spieszył się przed czymś. Był łapczywy, zachłanny, pełen tęsknoty. Jedną ręką przycisnął mnie do siebie, drugą ujął moją szyję w smukłe palce. Zatopił je w moich włosach, a ja poczułam, jak zwiędły mi kolana. Gdyby nie jego mocny uścisk, upadłabym.

To był taki pocałunek, jakiego nie zapomina się do końca życia, choć w jego trakcie myśli szaleją, gubią się w nieokiełznanym huraganie.

W końcu odsunęliśmy się od siebie, dysząc ciężko. A raczej on odsunął się ode mnie. Wtuliłam się w jego ciepłe ciało, w ten wytarty, szary sweter, tak dobrze mi znany. Przymknęłam powieki, wciągnęłam powietrze przez nos. Nawet zapach był ten sam. Wyraźny. Czując dookoła siebie ramiona Janka, szepnęłam:

– Udało się...

Wziął głęboki wdech.

– Obudź się Uleczko.

Otworzyłam gwałtownie oczy i odsunęłam się od Janka. Ściągnęłam brwi.

– Coooo?

Ale jego już nie było. Pod palcami miałam pustkę. Dookoła ciemność.